

TEMATY
TYGODNIA

- 10 Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
**Czy Ewa Kopacz
zmobilizuje Platformę?**
- 13 Andrzej Hołdys
Zabójcza susza
Zdzisław Pietrasik
Plażowy savoir-vivre

RAPORT:
POLSKA
PRZED WYBOREM

- 20 Joanna Solska **Jak leczyć
służbę zdrowia**

SPOŁECZEŃSTWO

- 24 Edyta Gietka
Łowca dewiantów
- 26 O źródłach pedofilii
oraz o tym, jak ją leczyć
– rozmowa z **Wiesławem
Czernikiewiczem**,
terapeutą
- 29 Agnieszka Sowa
Myśliwi w sutannach
- 32 Elżbieta Turlej
**Karnawał letnich
festynów**
- 36 Jan Woleński
OGLĄD I POGLĄD
**Dlaczego Kościół
walczy z in vitro**
- 38 Cezary Kowanda
BEZPIECZNI NA DRODZE
**Żeby pieszym było
lepiej, a kierowcom
nie było źle**

RYNEK

- 40 Adam Grzeszak
**Szykuje się
bitwa o handel**
- 44 Mariusz Sepioł
**Ostrowice – czy gmina
może zbankrutować**

ŚWIAT

- 48 Paulina Wilk
**Żywność – globalne
marnotrawstwo**
- 51 Jędrzej Winiecki
**Ropa napędza
terroryzm**
- 54 Dawid Warszawski
IZRAEL Pałacy
fundamentalizm
- 56 Marek Ostrowski
FRANCJA – ROSJA
Skąd ta miłość



10 Strategia pani premier



13 Polska wyparowuje



20 Przewlekła choroba służby zdrowia



66 Cała Polska walczy z barszczem

HISTORIA

- 60 Anna Machciewicz
**Sierpień '80:
bój o pierwszy postulat**
- 63 Tomasz Targański
Linia (wcale nie) Curzona

NAUKA

- 66 Arkadiusz Szaraniec
Trujący barszcz
- 70 O tym, do czego
zdolny jest umysł
szympansa, opowiada
prof. Tetsuro Matsuzawa
- 74 Agnieszka Krzemińska
**Jak malowali
starożytni**

KULTURA

- 80 Piotr Sarzyński, Urszula
Schwarzenberg-Czerna
Walka na pomniki
- 84 Aleksandra Żelazińska
**Nowe „Millennium”:
bohaterowie
przeżyli pisarza**
- 87 KAWIARNIA LITERACKA
Grażyna Plebanek
- 88 Rozmowa z gitarzystą
Raphaelem Rogińskim
o Polsce marzeń, graniu
Coltrane'a i Bacha
- 91 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

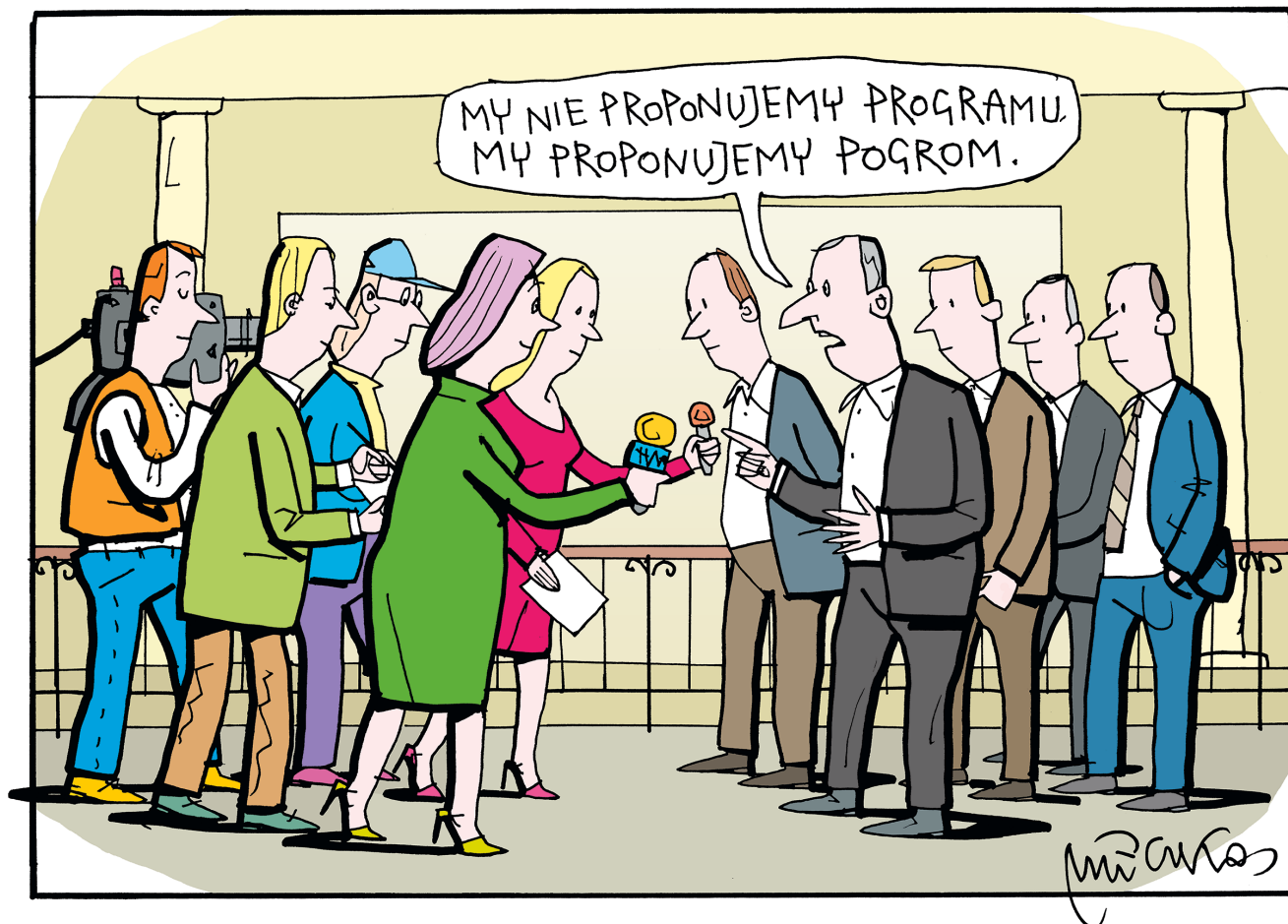
- 92 Jakub Bożek
**Chleb mistrzowski
i amatorski**
- 96 Aleksandra Żelazińska
**Kolorowanki
dla dorosłych**
- 100 Marcin Piątek
**Paweł Fajdek
– młociarz mocz**

NA WŁASNE
OCZY

- 108 Anna Tyszecka
fotografie @rtppress
Berlińska bohema

STAŁE RUBRYKI

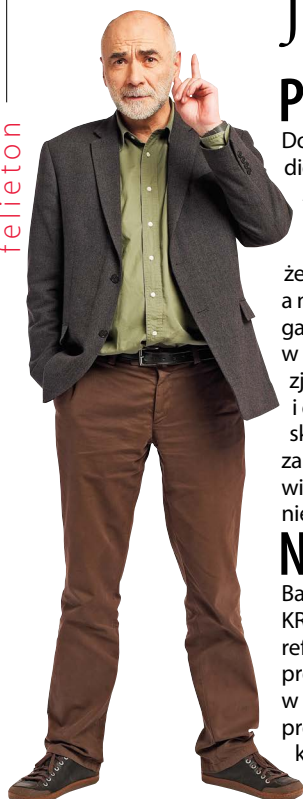
- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz • 102 Passent
- 104 Hartman • 105 Tym
- 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

Jak zdekolonizować media

felieton



Przypominania, że polskie media są za mało polskie, nigdy dość. Dorobek w dziedzinie polskości mediów nie jest zadowalający, bo na razie „Gazetę Polską” mamy tylko jedną, tymczasem zdaniem Jarosława Kaczyńskiego chodzi o to, żeby takich gazet było jak najwięcej, a najlepiej, żeby były same takie gazety. Wielu dziennikarzy pracuje w niepolskich gazetach czy telewizjach, myśląc, że pracuje w polskich, i dopiero prezes PiS albo któryś z biskupów musi im uzmysłowić, że nie, za co zresztą w tych gazetach i telewizjach spotyka ich brutalna i bardzo niepolna reakcja.

Niepolskość mediów, zwłaszcza publicznych, bardzo doskwiera Barbarze Bubuli, byłej członkini KRRiT, autorce projektu zasadniczej reformy mediów publicznych, zaprezentowanego na konwencji PiS w Katowicach. W projekcie Bubula proponuje „uspołecznienie i zdekolonizowanie tego, co w okresie 25 lat zostało w dziedzinie środ-

ków przekazu Polakom zabrane”, jak również „wzmocnienie medialnego przebudzenia”, które zaowocowało wyborem Andrzeja Dudy na prezydenta. Nad wzmocnianiem i pogłębianiem przebudzenia miałyby czuwać nowe władze mediów publicznych, cieszące się zaufaniem PiS, bo szalenie ważne, żeby nie dać się ponownie uspić. „Wybór A. Dudy pokazał, że stworzyliśmy własne sposoby komunikowania się”, twierdzi Bubula. Teraz chodzi o to, żeby te sposoby przenieść do mediów publicznych, mających służyć „budowaniu tożsamości narodowej”. W tym celu autorka projektu widzi konieczność pojawienia się w publicznych mediach wielkich produkcji opartych na klasyce polskiej literatury, a także seriali „wypełniających białe plamy w świadomości historycznej polskiego narodu” (przynajmniej dwóch rocznic). Zdaniem posła Sellina chodzi również o to, żeby w tej świadomości „przestała dominować pedagogika wstydu

i antypatriotycznego rewizjonizmu”, a zaczęła dominować „duma z naszej przeszłości” oraz „nasz punkt widzenia w dialogu z innymi narodami”.

Nasza przeszłość jest trudna i skomplikowana, ale oczywiście nie znaczy to, że zaproponowane przez panią Bubulę filmy i serie, przedstawiające nasz punkt widzenia na tę przeszłość, też powinny być trudne i skomplikowane. Uważam, że powinny być jak najprostsze, tak aby nie przymulały dumy z naszej przeszłości i aby zaprezentowany w nich bez fałszywego wstydu nasz punkt widzenia był absolutnie jasny, zarówno dla innych narodów, jak i dla nas samych. Ważne, by te filmy i serie dobrze się kończyły, nie jątrzyły i nie prowokowały do niepotrzebnego krytycznego myślenia, bo wiadomo, że to woda na młyn dla niechętnych nam ośrodków, których celem, jak słusznie zauważa pani Bubula, jest uspienie nas, a następnie skolonizowanie naszych mediów.

Olimpijczycy,
jesteśmy z Wami
od startu do mety

Katastrofy także wizerunkowe

W porcie pod chińskim **Tiencinem** wybuchły magazyny firmy logistycznej. Indonezyjski samolot rozbił się na Nowej Gwinei. Wypadki te są różnej natury, ale utrwalają obraz wschodniej Azji jako miejsca, gdzie przedsiębiorcy, goniąc za zyskiem, oszczędzają na bezpieczeństwie. Na papierze przepisy m.in. bhp i ochrony środowiska istnieją, ale do ich przestrzegania nie skłania ani przyzwoitość, ani nadzór państwowy, zazwyczaj osłabiony przez panoszącą się korupcję. W obu wypadkach zginęło w sumie ponad 200 osób, przy czym w Tiencinie będą odnajdywane ciała kolejnych ofiar, w tym kilkudziesięciu strażaków. Zaginęli po tym, jak nakazano im neutralizować płonące chemikalia wbrew sztuce gaśniczej.

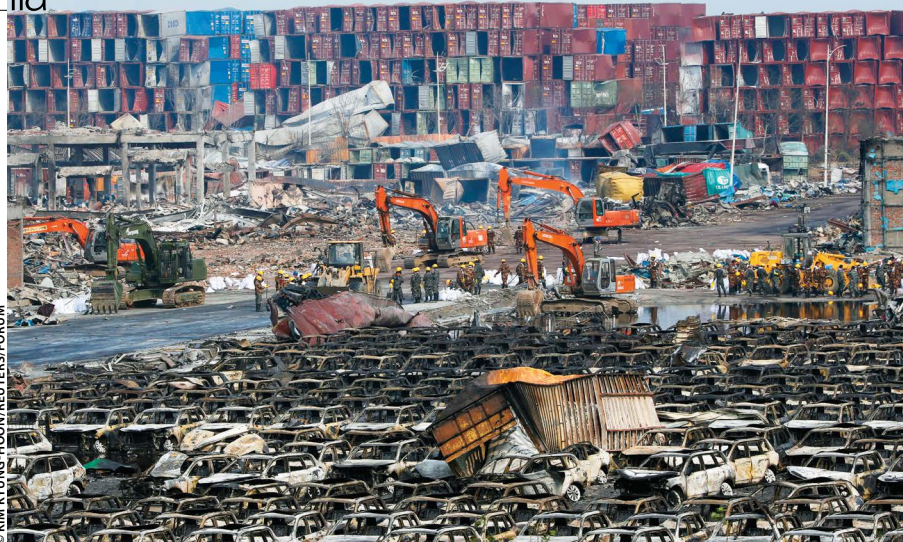
Katastrofy uderzają w bardzo czułe punkty obu krajów. Prezydent Joko Widodo chce do 20 mln podwoić liczbę turystów odwiedzających Indonezję, w tym dziewczątą dżunglę prowincji Papua. Tyle że teraz trwa tam akcja ratownicza i znów – jak

samoloty Malaysia Airlines w zeszłym roku – maszyna spadła w terenie wyjątkowo nieprzyjaznym ratownikom. Co cudzoziemcom, często nieodróżniającym Malezji od Indonezji, złoży się na nie do końca zasadne wrażenie lotniczej bylejałości regionu.

W Chinach zdarzenia podobne do portowej eksplozji są zawsze testem cierpliwości społeczeństwa, które – tak było np. w związku z zatonięciem statku wycieczkowego na Jangcy dwa miesiące

temu – domaga się prawdy o przyczynach i skutkach katastrof. Mieszkańców Tiencinu straszy toksyczna chmura, ale władze twierdzą, że nie mają sobie nic do zarzucenia i panują nad sytuacją. Na pewno kontrolują oceniany internet, a propaganda gloryfikuje ofiarności służb i roztropność władz centralnych, które już aresztowały zarządców magazynów i – podpowiada chińska praktyka – srogo ich ukarzą. Pokazowy proces zastąpi profilaktykę i tak do kolejnej tragedii.

© KIM KYUNG-HOON/REUTERS FORUM



Havel za darmo!

Kłótnia o Vaclava Havla wybuchła w czerwcu, kiedy to w izraelskiej Hajfie władze postanowiły nazwać imieniem byłego czesosłowackiego i czeskiego prezydenta jeden ze skwerów. Do akcji wkroczyła wtedy Fundacja Vaclava i Dagmary Havlów Vize 97 (Wizja 97), która zarządza spuścizną po zmarłym w 2011 r. prezydencie. Jej przedstawiciele od czeskiego ambasadora w Izraelu zażądali „opłaty licencyjnej” w wysokości 30 tys. koron (ponad 4,5 tys. zł). Zdziwiony ambasador oraz jego zwierzchnicy z MSZ odmówili, uzasadniając, że w nadawaniu imienia oni tylko pośredniczą, a za całość odpowiadają władze Hajfy. Wstydlawy konflikt został przerwany dopiero kilka dni temu. MSZ i kierownictwo fundacji ustaliły, że nadawanie imienia byłego prezydenta jest wyrazem szacunku dla jego pamięci oraz dla kraju, z którego pochodził, i dlatego nie będą z tego tytułu pobierane żadne opłaty. Nadal płatne będzie natomiast instalowanie **ławeczki Vaclava Havla**, czyli czegoś między pomnikiem a miejskim meblem. Zaprojektował go wybitny czeski designer Borzek Szipek, aby uczcić pamięć byłego prezydenta. Instalacja takiego obiektu (na fot. w Pilźnie) kosztuje prawie ćwierć miliona koron plus 30 tys. za nazwę (w sumie ponad 40 tys. zł). Opłatą dzielą się Fundacja Vize 97 oraz związana z nią Biblioteka Vaclava Havla.



© PAVEL NEMECEK/CTK/PAP

10 gniewnych

Tylko 10 osób w całej Rwandzie sprzeciwia się temu, aby prezydent Paul Kagame ubiegał się o trzecią kadencję. Tak przynajmniej twierdzą miejscowi parlamentarzyści. Po tym jak wpłynęła do nich w tej sprawie ni-by-obywatelska petycja podpisana rzekomo przez 3,7 mln osób (czyli 60 proc. wszystkich wyborców w kraju), posłowie i senatorowie przez prawie trzy tygodnie mieli przepytac na tę okoliczność „miliony” obywateli i (jak twierdzą) poza wspomnianą dziesiątką wszyscy Rwandyjczycy chcą, by Kagame pozostał prezydentem. Stanowisko piastuje oficjalnie 12 lat, ale u władzy jest de facto od 1994 r., kiedy siły pod jego dowództwem wygrały wojnę domową wywołaną ludobójstwem Tutsich przez Hutu. Pod jego rządami Rwanda cieszy się jednym z najszybszych wzrostów gospodarczych na świecie, milion jej mieszkańców wyszło ze skrajnego ubóstwa, a śmiertelność noworodków spadła o ponad połowę w stosunku do czasów sprzed wojny. Równocześnie nie ma wolności prasy, opozycja jest zastraszana, a niepokorni dysydenci są mordowani, np. w 2010 r. nieznani sprawcy obcięli głowę wiceprezidentowi jedynej partii, która oficjalnie sprzeciwia się zniesieniu limitu kadencji. Jej członków nie ma w parlamencie, więc nie mieli okazji brać udziału w tym imponującym precyzją badaniu opinii publicznej.

Tajemnice serwera

Nad głową Hillary Clinton, faworytki do demokratycznej nominacji prezydenckiej w USA, gromadzą się chmury. Kłopotów przysparzają jej służbowe maile, które jako sekretarz stanu, czyli szefowa amerykańskiej dyplomacji, wysyłała i otrzymywała, używając prywatnego serwera, pozostającego poza kontrolą państwowych informatyków. Sprawę bada FBI, ponieważ wśród nieszczęsnych listów były i takie, które specjaliści określili jako ściśle tajne. Jest tu jednak wiele niejasności. Nie wiadomo np., kiedy korespondencję zakwalifikowano jako tajną i czy ktoś – z otoczenia Clinton? – przed przekazaniem listów śledczym nie zlikwidował klauzuli tajności, aby uwiarygodnić poprzednie zapewnienia ówczesnej pani sekretarz, że tajemnice państwowe nie trafiały w niepożądane miejsca.

Sondaże pokazują rosnącą nieufność Amerykanów do byłej pierwszej damy, a wśród demokratów – wzrost poparcia dla najsilniejszego dotąd rywala do nominacji, lewicowego senatora Berniego Sandersa. Możliwość kandydowania zasignalizował również wiceprezydent Joe Biden. Oba jednak nie daje się większych szans. Sanders deklaruje się jako socjalista, co eliminuje go z konkurencji, a za 72-letnim Bidenem ciągnie się bagaż licznych gaf i oskarżenia o plagiat. Problemy z mailami mogą oczywiście wpłynąć na wynik rozgrywki Hillary z kandydatem republikanów w przyszłorocznych wyborach. Wszystko jednak zależy od tego, co uda się bezspornie ustalić. Jeżeli dochodzenie nie wykaże łamania prawa i narażenia bezpieczeństwa kraju, a tylko błędny osąd i kręactwa, do czego pani Clinton przyzwyczaiła już rodaków, może ona raczej spać spokojnie.



© HOSSEIN FATEMI/PANOS PICTURES/CZARNY KOT

Perski kac

Irańskie ministerstwo zdrowia poszło na ugodę z faktami i zapowiedziało otwarcie 150 ośrodków odwykowych dla alkoholików. To duży postęp, bo jeszcze dwa lata temu władze twierdziły, że w kraju nie ma uzależnionych. Dziś już przyznają, że w Iranie jest ok. 200 tys. alkoholików (nieoficjalnie – ponad milion). Ale nie chodzi tylko o liczbę. Światowa Organizacja Zdrowia twierdzi, że jeśli Irańczyk już pije, to na umór – średnio 25 litrów czystego alkoholu rocznie, czyli więcej niż pijący Rosjanie.

W islamskim Iranie alkohol jest zakazany pod karą batów lub nawet śmierci (przy recydywie). Mogą go produkować na własny użytek tylko niemuzułmanie. Ale oficjalna abstynencja to dla Persów *novum* – przed rewolucją z 1979 r. pili przez ponad 5 tys. lat. Nie przypadkiem jeden z najpopularniejszych szczepów winnych (Shiraz) nazywa się jak miasto w południowym Iranie. Dziś jednak, w warunkach konspiracyjnych, Irańczycy przerzucili się na arak, mocną (ponad 50-proc.) wódkę z winogron, ugniatających potajemnie w wannach, i wlewaną do gardeł w domu lub na wycieczkach po górach wokół Teheranu. A jak ktoś nie ma własnej, może zamówić – z bezpłatną dostawą do domu, po 3 zł za litr. Wielu młodych Irańczyków naiwnie tłumaczy, że pije z powodów politycznych. Ale problem jest realny – liczba alkoholików szybko rośnie i niedługo może być ich więcej niż narkomanów, których jest w Iranie ponad 3 mln. 150 ośrodków na 77 mln mieszkańców to niewiele, ale ajatollahowie zrobili pierwszy krok ku trzeźwości – przyznali, że problem istnieje.

W domowym zaciszu
Iranu nie stronią
od używek.

Gita łączniczka

Serca zwaśnionych narodów Indii i Pakistanu poruszyła historia w stylu Bollywoodu. Gita (Geeta) to imię nadane głuchoniemej dziewczynce, która przed ok. 10 laty w niejasnych okolicznościach znalazła się po pakistańskiej stronie pilnie strzeżonej granicy z Indiami. Zaopiekowała się nią pakistańska fundacja dobroczynna, której pracownicy zorientowali się, że zabłąkane i niepiśmienne dziecko jest Hinduską, przestali ją nazywać Fatimą i nadali jej indyjskie imię Gita. Dziewczynce urządzono kącik do modłów ozdobiony obrazkami hinduistycznych bogów, a ona modliła się, składając dłonie razem, jak hinduiści i, wychowana wśród muzułmanów, przestrzegała też postu podczas ramadanu. Chciałaby wrócić do Indii i rodziny, ale podejmowane przez indyjskich oficjeli próby ustalenia jej tożsamości i odszukanie krewnych spełzyły na niczym.

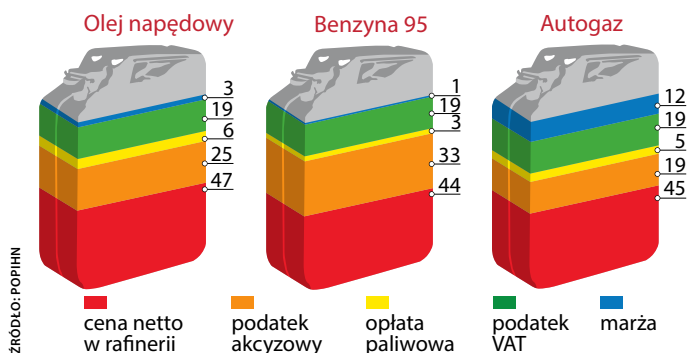
O Gicie zrobiło się głośno za sprawą filmu „Bajrangi Bhaijaan”, najnowszej produkcji z bollywoodzką megagwiazdą Salmanem Khanem. Scenarzyści filmu nie znali losów dziewczyny, jednak film opowiada bliźniaczą historię. Hinduś stara się odnaleźć rodzinę złąkanej dziewczynki z Pakistanu, muzułmanki. Tłem jest nieustający nacjonalistyczny konflikt między regionalnymi mocarstwami atomowymi, które od 1947 r., kiedy Pakistan odłączył się od Indii, stoczyły już ze sobą trzy wojny. Zagadka Gity na chwilę zjednoczyła ludzi dobrej woli po obu stronach, a Salman Khan – wbrew indyjsko-pakistańskiej wrogości – namawia Gite, by pozostała w Pakistanie razem z przybranymi rodzicami.



© MP

Rozterki przy dystrybutorze

Co składa się na cenę paliwa
Dane w procentach za styczeń–lipiec 2015 r.



Polscy kierowcy nie mogą się nadziwić: w mediach słyszą o gwałtownie taniejącej ropie (rok temu baryłka kosztowała ponad 100 dol., a dziś już mniej niż 50 dol.), a na stacjach benzynowych, jak było drogo, tak jest. Drożej niż w niektórych krajach Europy. Dlaczego? Powodów jest kilka.

Podatki. O tym, ile płacimy przy dystrybutorze, w większym stopniu decyduje fiskus niż naftowi szefkowie. Każdy kraj ma własną politykę podatkową, do tego dokłada się Bruksela, narzucając minima akcyzowe. Około połowy ceny to akcyza, opłata paliwowa, VAT. Największy udział ma akcyza, która jest ustalana kwotowo, a nie procentowo. Fiskus chce w ten sposób uniknąć spadku wpływów w sytuacji

spadających cen (tak jak ma to miejsce przy VAT). Koszt ropy w cenie paliwa stanowi ok. 20–30 proc. Tak więc wahania cen tego surowca mogą wpłynąć tylko na tę część naszego rachunku.

Dolar. Ropa naftowa sprzedawana jest za dolary. Obowiązuje przy tym stała zależność – im tańsza ropa, tym droższy dolar. Tak więc część korzyści, jakie daje taniejąca ropa, zjada nam słabnący wobec dolara złoty.

Technologia. Z każdej baryłki ropy powstaje nie tylko benzyna i olej napędowy, ale dziesiątki różnych produktów petrochemicznych. Rafineria nie może produkować tylko benzyny albo diesla. Możliwości sterowania proporcjami między poszczególnymi produktami rafinacji ropy są niewielkie. Dlatego sprzedając benzynę i olej napędowy, rafineria musi też znaleźć nabywców na pozostałe produkty. Na jednych zarabia więcej, na innych mniej albo wcale. I dopiero bilans zysków i strat określa opłacalność przerobu ropy.

Giełda. Ustalanie cen poszczególnych produktów, w tym benzyny i oleju napędowego, jest bardzo proste. Wystarczy sprawdzić notowania na międzynarodowych giełdach surowcowych, gdzie sprzedawane są paliwa. To pozwala określić tzw. parytet importowy, czyli przy jakiej cenie opłacalny stanie się import paliwa z zagranicy? Cena, jaką ustala rafineria, nie jest więc ceną ekonomicznie uzasadnioną ani sprawiedliwą, lecz najwyższą możliwą w aktualnych warunkach konkurencyjnych.

Logistyka. Polskie rafinerie doliczają sobie tzw. rentę geograficzną, czyli korzyści, jakie dają kłopoty logistyczne importerów. Paliwo trzeba dowieźć transportem kolejowym, a to kosztuje i trwa. Zanim pojawi się towar z importu, minie kilka dni, które dają szansę na wielomilionowe zyski. Dlatego polscy producenci błyskawicznie reagują podwyżkami na wzrost cen ropy, ale reakcja na obniżki jest zawsze opóźniona. Z tego samego powodu pomysły budowy transgranicznych rurociągów paliwowych są przez nich energicznie zwalczane.

ADAM GRZESZAK

Fotoradary wylane z kąpielą

Posłowie na finiszu urzędowania bywają wyjątkowo mało przewidywalni. Nowelizacja prawa zmierzająca do odebrania strażom miejskim i gminnym możliwości obsługiwanie fotoradarów i przekazania ich Inspekcji Transportu Drogowego przybrała zupełnie nieoczekiwany obrót. – *Parlamentarzyści jednym głosowaniem zlikwidowali połowę fotoradarów używanych w Polsce* – mówi Leszek Kuliński, wójt Kobylnicy, gdzie działa siedem gminnych fotoradarów. Drugą połowę dysponuje ITD, która miała przejąć radary gminne, ale posłowie tego ostatecznie nie uchwalili.

Zmiany przegłosowane w parlamencie oznaczają lawinę kłopotów dla samorządów. Podstawowym są same urządzenia, za które strażnicy płacili po około 150 tys. zł za sztukę, a które w tym momencie są właściwie bezwartościowe. – *Jeśli to prawo wejdzie w życie, to w przyszłym roku nasza sprzedaż fotoradarów spadnie pewnie do zera. Na szczęście mamy również inny asortyment* – mówi Andrzej Konarzewski, prezes firmy Zura, produkującej fotoradary. Kolejna sprawa to, jak domknąć budżety bez milionów, które gminy pozyskiwały z mandatów. W Warszawie to kwota rzędu 20 mln zł rocznie, ale tutaj to zaledwie promil budżetu. Dla mniejszych gmin to wielkie pieniądze. – *Pieniądze, które w naszej gminie w całości były wydawane*

na drogi i poprawę bezpieczeństwa – dodaje wójt Kobylnicy. Trzeba się również liczyć, że gminy będą musiały zwolnić część strażników miejskich. Samorządowcy napisali już list do prezydenta Andrzeja Dudy, żeby nie podpisywał zmienionej ustawy. Ich zdaniem uchwalone prawo jest niekonstytucyjne.

Kwestie gminnych fotoradarów wywołała na ten temat był miążdzący dla kilku gmin, bo z polowania na kierowców za pomocą ruchomych radarów uczyniły jedno z głównych źródeł budżetowych wpływów. Jednak zmiana prawa zszokowała ludzi związanych z bezpieczeństwem na drogach. – *Olsztyn przygotował kompleksowy program poprawy bezpieczeństwa i jakości poruszania się po miejskich drogach. Jego częścią było m.in. siedem radarów, które właśnie im dostarczyliśmy* – dodaje prezes Zura. Nerwów nie kryją również stołeczni urzędnicy. – *Nasza polityka nie polegała na nękanii kierowców, ale budowaniu całych rozwiązań kontrolnych, które uspokajały ruch i ograniczały wypadki* – mówi proszący o anonimowość pracownik ratusza. – *To, co zrobili posłowie, to skrajna nieodpowiedzialność. Prezydent Andrzej Duda nie będzie miał łatwego wyboru. Zmienione przepisy wyglądają na bubel. Jednak zmiany niemal jednogłośnie poparli zarówno posłowie PO, jak i PiS.* (JUL)

Wygrał telefon komórkowy

Wnaszej internetowej sondzie czytelnicy POLITYKI uznali, że najważniejszym wynalazkiem XX w. był telefon komórkowy. Wskazało go 53,6 proc. uczestników zabawy. Drugim wynalazkiem okazała się pigułka antykoncepcyjna (38,7 proc.), trzecim – karta płatnicza (34,3 proc.). Poza czołówką zasadniczo częściej wybierane były wynalazki ułatwiające wprawdzie codzienne życie, ale które dałoby się bez wielkiego bólu zastąpić (długopis, zamek błyskawiczny, butelka plastikowa). Natomiast mniejsze uznanie zdobyły wynalazki, które wprowadzały absolutnie nową jakość (aerazol, viagra, a nawet walizka na kółkach). Zaskakuje i cieszy wysoka pozycja, zdawałoby się banalnej, szczoteczki do zębów, jak i niska, wszechobecnej przecież, tzw. torby jednorazówki. Przypomnijmy: konkurs zorganizowaliśmy w związku z przypadającą w tym roku 50. rocznicą wynalezienia płyty CD, torby plastikowej i szkieł kontaktowych.

PIOTR SARZYŃSKI

Pełne wyniki konkursu oraz wyróżnione uzasadnienia czytelników na POLITYKA.PL/NAUKA

Mózgi się zagotowały

Gorące lato co prawda zapowiadano, ale bardziej odnosiło się to do polityki niż pogody. Natura podgrzała polityczne mózgi i mocno się zagotowały. Właściwie nawet trudno ułożyć ranking, gdzie bardziej – na prawo czy na lewo? W ramach dowartościowania tych, którym najtrudniej, zaczęły od lewicy, cierpiącej na brak społecznego zainteresowania. Ogłoszono sukces: lewica się zjednoczyła, podzieliła miejsca na listach wyborczych, zwłaszcza zaś tak bardzo upragnione jedyńki, pierwsze miejsca na listach wyborczych.

Nie byłoby nic nadzwyczajnego w takim zdarzeniu, jak zarejestrowanie w PKW komitetu wyborczego Zjednoczona Lewica, gdyby nie to, że jako pierwsza zarejestrowała się zupełnie inna Zjednoczona Lewica. Taka, o której wcześniej nikt nie słyszał. O całe trzy godziny wyprzedziła ona Zjednoczoną Lewicę Leszka Millera i Janusza Palikot z dodatkami. Miller z Palikotem muszą więc szukać nowej nazwy, choć dotychczasową już jako tako oswoili. Nowa Zjednoczona Lewica to SDPL wraz z Wolnością i Równością oraz różnymi, nieznanymi szerzej przyległościami. Te partyjne byty (mimo że trafniej byłoby powiedzieć niebyty) są obdarzone niezłą polityczną pamięcią. Pamiętają na przykład, że takie numery robił kiedyś poseł Adam Słomka z Konfederacji Polski Niepodległej, potem z wielu innych partii. Tworzył jakiś komitet, rejestrował, zajmował domenę i czekał, co z tego wyniknie. Aż sam znalazł się na kompletnym politycznym marginesie, ale gdy zaczyna się jakieś polityczne poruszenie, znów się pojawia. W okolicach Kukiza też był. Mało kto go jednak rozpoznaje.

Tak więc na początek rejestracji komitetów znów mamy dwie listy lewicy nie do końca zjednoczonej, oczywiście z powodu jedynek, bo to one stały się zarzewiem buntu. Nie może być tak, że Palikot z Millerem się podzieli, a resztę lewicowego towarzystwa zostawią na lodzie, a raczej na gorącej plaży. Dlaczego w Krakowie jedyneką na być na przykład Kazimiera Szczuka z Twojego Ruchu, typowa spadochroniarka, a nie jak najbardziej miejscowy i w dodatku bojowy prof. Jan Hartman, dawniej Twój Ruch, a obecnie Wolność i Równość? Dlaczego mają się marnować polityczne talenty Marka Siwca (chyba bez wyraźnej przynależności organizacyjnej) czy Roberta Kwiatkowskiego (dawniej Europa Plus, a obecnie może WiR)? W czym Kwiatkowski gorszy od Włodzimierza Czarzastego? Czy Andrzej Rozenek, poseł pełnej kadencji, jest mniej politycznie dojrzały niż Barbara Nowacka, bez większego politycznego doświadczenia rzucona na Warszawę?



Pytania są zasadne. I wreszcie widać wyrażenie, o co chodzi. Żadne tam minimum czy nawet maksimum programowe się nie liczy, liczą się jedyńki na listach. To jest prawdziwe partyjne życie i zarazem kolejny szczyt absurdu. Polityczni skazańcy na parlamentarny niebyt dzielą i biją się o jedyńki, które i tak prawdopodobnie żadnego mandatu nie wezmą. Pytanie zasadnicze brzmi więc nie: ile kto pierwszych miejsc dostanie po kolejnym kongresie zjednoczeniowym pod patronatem szefa OPZZ Jana Guza, ale czy w ogóle całe to towarzystwo nie powinno być przynajmniej okresowo od polityki urlopowane? Trudno sobie wyobrazić Sejm bez lewicy – brzmi nowa mantra, tak jak niegdyś powtarzano, że elektorat lewicowy to przynajmniej 25 proc. Otóż jak najbardziej można sobie taki Sejm wyobrazić, mimo że Leszek Miller dzielnie wchodzi na pole chyłkiem opuszczane przez PiS. PiS na przykład jakoś mniej dostrzega ostatnio „Polskę w ruinie”, bardziej widzi Polskę „do naprawienia”. Nawet głodujące dzieci już tak bardzo nie głodują, raczej bywają niedożywione. W każdym razie głodują mniej niż dzieci w wydaniu Leszka Millera.

Nowa kancelaria nowego prezydenta też nie oparła się upałom i zarządziła audyt kancelarii prezydenta Bronisława Komorowskiego. Podobno zostało za mało pieniędzy na zatrudnienie nowych pracowników i oczywiście na koszty kampanii parlamentarnej, którą pan prezydent z całą kancelarią prowadzi intensywnie w ramach dziękczynnej pielgrzymki po Polsce (sierpień to przecież w Polsce miesiąc tradycyjnie pielgrzymkowy i prezydent Duda musi być z narodem). Trudno się oprzeć wrażeniu, że wszystko już było. W 1993 r., kiedy SLD doszło do władzy, jedną z pierwszych czynności była próba audytu rządu Hanny Suchockiej. Powstała nawet specjalna sejmowa komisja badająca – jak to wówczas mówiono – zbrodnie rządu Suchockiej. Skończyło się kompromitacją i niesmakiem. Po tamtej nauce długie lata nikt już audytów nie stosował. Premierowi Tuskiemu zarzucano nawet, że konsekwentnie unikał

rozliczenia rządów PiS i wszystkie sejmowe komisje śledcze skończyły się niczym, choć akurat niektóre, dotyczące choćby działań prokuratury, nie powinny. Na placu boju pozostała Julia Pitera z kawałkiem ryby za 7 zł kupionym przez jakiegoś ministra lub wice na służbową kartę. Nowi politycy nowej kancelarii najwyraźniej niewiele wiedzą o historii najnowszej i audyt zarządzili. Rzeczą ma wymiar propagandowy, budzi niesmak i pokazuje brak klasy. Może jeszcze uda się obrzucić prezydenturę Bronisława Komorowskiego dodatkowym błotem, jakby go w kampanii było za mało? Takie jest podstawowe przesłanie owego „audytu”. Bo nie chodzi o to, co zostanie ustalone, ważne są podejrzenia, że coś było nie tak. Tradycyjna metoda PiS. Jak na zapowiedź budowania wspólnoty szacunku, metoda dość oryginalna.

Wszystko już wprawdzie było, ale nowości też są. W kampanii kandydat Andrzej Duda obiecał po 500 zł na każde dziecko. Potem obietnica ewoluowała i już nie bardzo wiadomo, czy na każde czy tylko na niektóre, ale 500 zł pozostało kwotą niezmienną. I oto teraz okazuje się, że tę obietnicę ma zrealizować premier Ewa Kopacz. Politycy PiS mówią nawet, że jeśli nie zrealizuje, to przegra wybory, że te 500 zł na dziecko to jej ostatnia szansa! Łaskawcy, tak bardzo troszczą się o wygraną PO, że sposób na zwycięstwo przynoszą po prostu na tacy. Rzeczywiście od upałów mózgi się im kompletnie ugotowały, bo przecież trudno przyjąć do wiadomości, że ubiegając się o urząd prezydenta, Andrzej Duda, prezentowany jako konstytucjonalista, pracujący w dodatku kiedyś w Kancelarii Prezydenta, nie wiedział, jakie są prezydenckie uprawnienia.

I dąc tym tropem, każda partia może obiecać wszystko i żądać, aby urzędujący gabinet postulaty spełnił. No, niby tak już mamy, że każdy obiecuje wszystko, ale zapewniam, że sam to zrobi po wygranej. Tak więc postulat, aby premier Kopacz realizowała obietnice kandydata, a obecnie już prezydenta Dudy stanowi nową jakość w polityce. Rodzi się jednak pytanie: jeśli za pieniądze dla dzieci odpowiadać miała premier Kopacz, to właściwie dlaczego kandydat Duda był w obietnicach tak powściągliwy? Tysiąc złotych na każde dziecko brzmi zdecydowanie lepiej niż pięćset. A że polska polityka brzmi coraz bardziej absurdalnie, to już inna sprawa. W dodatku wszystko przed nami, bo na razie jesteśmy w dziwnej fazie prekampanii, prawdziwa dopiero się zacznie. Co będzie, gdy te rozgotowane polityczne mózgi naprawdę wezmą się do kampanijnej roboty? Nadzieja – wprawdzie słaba, ale jednak – w tym, że wyborcy aż tak powszechnie nie dadzą sobie zrobić wody z mózgow. W końcu na upały nieco się uodporniliśmy.



Ruchomy cel

Premier Ewa Kopacz podczas wizyty
w 33. Bazie Lotnictwa Transportowego w Powidzu

Ewa Kopacz znalazła się
w przełomowym punkcie.
Ale jeśli nawet dostrzegła cień szansy
na dogonienie PiS, musi jeszcze
zmobilizować Platformę, która już
zaczęła się układać do opozycyjnego snu.

MARIUSZ JANICKI, WIESŁAW WŁADYKA

Polska polityka, kiedy się patrzy na nią przez sondaż, wygląda absurdalnie. Od wielu tygodni PiS wyprzedza Platformę o około 10 punktów procentowych, wcześniej wyraźnie ponad, teraz czasami nawet mniej, ale przewaga – mimo zmniejszenia dystansu – jest duża i niebudząca wątpliwości, także bukmacherów, którzy obstawiają zwycięstwo partii Kaczyńskiego w nadchodzących wyborach parlamentarnych. A jednocześnie już drugi miesiąc z rzędu respondenci badań na pytanie, kto byłby lepszym premierem, ponad Beatę Szydło stawiają Ewę Kopacz i ta przewaga wzrasta. Jeszcze w lipcu było to 39 proc. do 36 wskazań na korzyść Kopacz, a w sierpniu już 42 proc. do 36. Ktoś może powiedzieć, że pani premier jest po prostu bardziej znana, ale w czerwcu w tym samym rankingu wyraźnie wygrywała Beata Szydło.

Gdyby spojrzeć na te wyniki literalnie, znaczyłyby to, że wyborcy życzą sobie rządu PiS, ale z Ewą Kopacz jako premierem. Jak wytłumaczyć te niedorzeczności?

Szydło ma wciąż ten sam procentowy wynik, niezależnie od tego, czy była bardziej czy mniej aktywna medialnie i kampanijnie. Oznacza to, że ma pewny, stały elektorat PiS, zbliżony do wyniku Andrzeja Dudy w pierwszej turze wyborów prezydenckich i do obecnych notowań PiS. Tu się nic nowego nie dzieje, PiS ma swoich zdyscyplinowanych wyborców, jak pokazały ostatnie badania CBOS, najbardziej wiernych spośród wszystkich ugrupowań (najwięcej wskazań, że „na pewno zagłosuję”). Bardziej dynamiczne i ciekawsze procesy zachodzą po drugiej stronie, i to z nich wynikają paradoksy i niekonsekwencje politycznej sceny. Widać, że PiS się wyborczo nasyci i ma już niewielkie rezerwy. Wciąż jest to mniejszość, która nigdy by nie doszła do władzy, gdyby nie podziały i frustracje po stronie nie-PiS. Lepsze dzisiaj notowania premier Kopacz niż jej rywalki z PiS pokazują, że niepisowski elektorat jest rozchwyany i niezdeterminowany. Właściwie nie pragnie PiS, ale też nie chce za bardzo Platformy, ledwie zauważa lewicę, zniechęca się do Kukiza, a partię Ryszarda Petru raz chce, a raz nie. Ta decyzyjna degrengolada jest źródłem sukcesu PiS, który może się dzięki temu powoływać na poparcie narodu.

Wydaje się, jakby u niepisowskiego elektoratu występowały dwa spojrzenia na obecną władzę: pierwsze, niejako regulaminowe i oficjalne – Platforma jest do niczego i musi być ukarana, nawet jeśli ma wrócić PiS i dać popalić. I drugie, mniej oficjalne: ta Kopacz może w sumie nie jest taka zła, przynajmniej stara się, jeździ, chce się jej mimo upału; może to jej tournée po kraju jest czasami śmieszne, czasami straszne, ale na tle reszty leserów z Platformy premier wygląda wyraźnie lepiej. Może jest tak, że w przypadku samej Kopacz wyborcy dają sobie więcej luzu, oceniają ją w kategoriach bardziej ludzkich niż stricte politycznych, trochę ją odpartyjnają, stąd jej niezłe notowania. Ale kiedy przychodzi pytanie o samą Platformę, to włącza się znowu ten surowszy, bardziej oficjalny tryb. Więcej, Kopacz może być nagradzana wręcz na kontrze do swojej partii, jako ta „dobra”, która ma wokół siebie tych „złych”, z którymi musi się użerać, ale i im czasami ulegać. Podobnie jak mścić się z PSL, który rozpoczął swoją tradycyjną, trwającą ćwierć wieku, przedwyborczą grę dystansowania się od koalicjanta.

Ale jest to dla Ewy Kopacz i zarazem Platformy jakaś szansa, prawdopodobnie ostatnia. Takie „ludzkie” motywy mogą się (choć nie muszą) przekształcić w polityczne decyzje, jeśli będą dobrze stymulowane. Widać, że Polacy aż tak bardzo PiS nie chcą ani go nie kochają. Może prezydent Duda wyczerpuje w dużej mierze pulę „miłości” i chęć zmiany, a ten sam manewr z Beata Szydło udaje się mniej, choć zrobiono wiele, aby kandydatkę Kaczyńskiego na szefa rządu przedstawić jako ciepłą, rodzinną kobietę. Rzadko dwa razy udaje się ten sam chwyt, chociaż niby wszystko temu sprzyja.

W środowisku PiS widać pierwsze objawy zaniepokojenia tą sytuacją. Prawicowa publicystka pod znaczącym tytułem „To działa (niestety)” napisała: „PO ma wciąż silną bazę wyborczą w wielkich miastach. Straciła zaś w Polsce B. Teraz to o te właśnie głosy walczy. Przebrano więc Ewę Kopacz w kolorowe, kraciasto-kwieciste bluzki, porzucano garsonki. (...) Dziś to ma być »nasza Ewa«, jedna z pań z sąsiedztwa, ot jak sprzedawczyni ze sklepu meblowego (...). Konsekwentnie i nie zważając na krytykę (...), spotyka się wciąż z ludźmi i, co najważniejsze, widać, że chce się jej walczyć. (...) Opozycja, niezależne środowiska i media powinny to dostrzec. Mamy do czynienia z racjonalną grą”. Widać z tego, że drużyna PiS zaczyna się obawiać, że kampania Kopacz, choć może i tandetna, a pewnie właśnie dlatego, zaczyna być skuteczna, w końcu Duda robił to samo.

Dlatego Beata Szydło ma znowu ruszyć w trasę, a na razie pisowską przestrzeń symboliczną wypełnia prezydent Duda. Tak to zresztą miało w planach wyglądać: Szydło ciągnęła po wyborach prezydenckich, kiedy Duda musiał odpocząć, potem odpoczywała Szydło, a zmienił ją Duda swoją inauguracją i dziękczynnym tourem po kraju. Kiedy wybrzmi prezydent, ruszy Szydło. Kopacz i Platforma mają niewiele czasu, by wpasować się w ten harmonogram, a margines błędu jest już zerowy.

Jest zatem teraz cichy, mało zauważalny moment przełomowy, ważenie sił przed ostatnim sprintem. Jeśli Platforma utrzyma trend wzrostowy, ma jeszcze szansę, jeśli wynik znowu się cofnie, to będzie koniec. Trwa wprawdzie święto Dudy, ale apogeum mija. Ponadto podgrzewany przez prawicę specyficzny kult nowego prezydenta, wręcz z elementami me-sjanizmu, balansuje niebezpiecznie blisko granicy śmieszności, której przekroczenie może odmienić nastroje. Zwłaszcza nowe media bywają w swoich ocenach zmienne i bezlitosne; podobnie surowo mogą potraktować nieprawdopodobną i nieporównywalną z czymkolwiek wcześniej czołobitność wobec Dudy tzw. niepokornych mediów. Swoje znaczenie ma również coraz większa polityczna aktywność Kościoła, któremu Duda i PiS deklarują posłuszeństwo; wobec dramatycznie słabej lewicy Platforma staje się jedyną przeciwwagą dla katolicko-narodowej prawicy i ekspansywnych hierarchów.

Sam prezydent trochę się zaplątał w kwestii wyborczych obietnic, dając do zrozumienia, że to rząd Platformy ma opracować ustawy, które on zapowiedział. PiS na sierpień wyraźnie zaplanował partyjne wakacje. Ale już pod koniec miesiąca i na początku września ruszy ponownie, przedstawi listy wyborcze i program. W tej „teoretycznie merytorycznej”, ale przede wszystkim marketingowej rywalizacji będzie się liczył każdy dzień. W Platformie słychać, że w kampanii „nożnej” Kopacz dała radę, dostosowała się do poziomu polityki wyznaczonego strategią prezydencką Dudy: jeździć, spotykać się, obiecywać, współczuć, zrzęcznie się oburzać. Jeśli ktoś się rusza, to znaczy, że żyje, a dodatku trudniej go trafić. A Kopacz się rusza.

Ale kampania „nożna”, objazdowa, ten specyficzny dudyzm, wyczerpuje swoje możliwości po obu stronach.

Ile razy można wysłuchiwać tych samych gadek, oglądać ludzi na rynku i w pociągu wraz z pozornie poruszoną czy zaabsorbowaną panią premier czy przyszłą panią premier? Pytanie, czy Kopacz potrafi wykorzystać ten ukryty moment przesilenia i drzemki PiS, czy we wrześniu będzie w stanie uderzyć mocniej niż przeciwnik. Wydaje się, że część zniechęconego wcześniej elektoratu Platformy czeka na jakąś zachętę, wiarygodny pretekst, aby zmienić zdanie i ponownie wesprzeć tę partię. Ale jednocześnie drugie oko wyborcy szuka potwierdzenia, że wcześniejsza decyzja o skreśleniu drużyny Tuska była słuszną. To prawdziwe balansowanie na linie. Jest w tym psychospołecznym procesie sam prezydent Duda – to atut prawicy, ale nie tylko. Wyborcy mogą uznać, że PiS już dostał swoje, że już poszaleli, ukarali władzę, zhejtowali wystarczająco Komorowskiego, zredukowali swoją frustrację. A teraz koniec zabawy, czas na realizm, przecież tak naprawdę nie chcą dać pełni władzy jednej opcji, tej, z której niedawno się śmiali i bali. To subtelna gra, gdzie nagle może nastąpić przesilenie i odwrócenie znaków. Polska polityka, chyba jak nigdy dotąd, stała się nieprzewidywalna i irracjonalna.

Problem w tym, że o ile Ewa Kopacz, jak się zdaje, nie wyklucza jeszcze do końca wyborczego sukcesu, o tyle ma w tym myśleniu niewielkie wsparcie w swojej partii. Było to widać po składzie list do Sejmu, jakie otrzymała od kierownictw regionów ugrupowania. To były składy kapsuły ratunkowych na czas długiej opozycji z przygotowanymi wygodnymi kojami według organizacyjnej rangi, układu frakcyjnych sił, tej ►